

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 40

Kraków, niedziela, dnia 3 października 1937 r.

Rok II

Prawda o wojnie domowej w Hiszpanii

List Zbiorowy Episkopatu Hiszpanii¹⁾

II.

W duszy narodu dojrzewał bunt na podłożu religijnym zwrócony przeciw akcji nihilistycznej i niszczyielskiej „bożo-nych“. I Hiszpania trwała w podziale na dwa zwalczające się stronnictwa. Każde było magnesem dwóch przeciwnych tendencji bardzo popularnych. A przeciwne sobie siły, dzielące naród, gromadząc się koło nich i współpracując z nimi, polaryzowały się pod postacią ochotniczych milicji, służby pomocniczej i pozafrontowej.

Wojna jest więc jakby zbrojnym plebiscytem. Zacięta walka w czasie sesji parlamentarnej w lutym 1936 r., kiedy to krótkowzroczny rząd narodowy przyznał samowolnie siłom rewolucyjnym zwycięstwo, którego przy urnach wyborczych nie osiągnęły, zmieniła oblicze. Stała się walką obywatelsko-wojskową. Okrutny spór rozdzielonego narodu: z jednej strony dążności duchowe u powstańców, zamierzających bronić ładu i pokoju społecznego, tradycyjnej cywilizacji, ojczyzny i w sposób widoczny u wielkiej części także religii; z drugiej strony dążenia materialistyczne, powiedzmy marksistowskie, komunistyczne lub anarchistyczne, usiłujące starą cywilizację hiszpańską z wszystkimi jej składnikami zastąpić przez nową „cywilizację“ Sowiecką rosyjską.

Późniejsze komplikacje wojenne nie zmieniły zasadniczo jej charakteru: międzynarodowy komunizm pospieszył na ziemię hiszpańską z pomocą dla marksistowskiej armii i marksistowskiego ludu; podobnie pod wpływem naturalnych sympatyj i rozważań o charakterze międzynarodowym zaczęto z zagranicy wspierać tradycyjną Hiszpanię bronią i żołnierzami. Ale ośrodki narodowe pozostają niezmiennione, chociaż walka, poruszająca cały naród, przybrała z czasem charakter międzynarodowy.

Dlatego to bystrzy obserwatorzy tej wojny mogli napisać takie słowa: „Jest to wyścig szybkości między bolszewizmem a cywilizacją chrześcijańską“. „Nowy i może decydujący okres w walce między Rewolucją i Porządkiem“. „Walka międzynarodowa na polu bitwy jednego narodu; komunizm stacza na półwyspie straszną bitwę, od której zależy los Europy“.

Nakreśliłmy tu tylko szkic historyczny, pozwalający na stwierdzenie, że powstanie obywatelsko-wojskowe było początkowo ruchem narodowym, pragnącym obronić podstawowe zasady każdego cywilizowanego społeczeństwa; w dalszym rozwoju wypadków przeciwstawiło się ono anarchii, sprzymierzonej z siłami rządu, który nie umiał ani nie chciał powstrzymać tych zakusów.

Z tego stwierdzenia można wysunąć następujące cztery wnioski:

Po pierwsze: Chociaż Kościół, wielki miłośnik pokoju, nie zamierzał tej wojny wywołać ani z nią współdziałać, jednak nie mógł wobec niej pozostać obojętnym; przemawiało przeciw temu wszystko: nauka i duch jego, instynkt samozachowawczy i doświadczenie nabyte w Rosji. Z jednej strony usuwano Boga, którego dzieło Kościół ma w świecie urzeczywistniać, i wyrządzano mu w jego osobach, dobrach i prawach niezmiernie krzywdy, jakich zapewne żadna instytucja w historii nie doświadczyła; z drugiej strony, mimo pewnych niedoskonałości, związanych z naturą ludzką istniał poważny wysiłek celem zachowania starego ducha hiszpańskiego i chrześcijańskiego.

Po drugie: Mimo to Kościół nie solidaryzował się z czynami, dążeniami i zamiarami, które by dziś albo później mogły zniekształcić szlachetny charakter ruchu narodowego w jego źródłach przejawach i celach.

Po trzecie: Twierdzimy, że powstanie obywatelsko-wojskowe wyrasta w świadomości narodowej z dwóch korzeni: z patriotyzmu, który widział w nim jedyny sposób do przebudzenia Hiszpanii i do uniknięcia ostatecznej zguby; i z uczucia religijnego, które uważa powstanie za siłę zdolną do pokonania wrogów Boga, i za gwarancję zachowania wiary i praktyk religijnych.

Po czwarte: W tej chwili istnieje dla Hiszpanii tylko jedna nadzieja odzyskania sprawiedliwości i pokoju oraz niezależnych od nich dóbr, mianowicie triumf ruchu narodowego. Dzisiaj może więcej jeszcze, niż na początku wojny, ponieważ strona przeciwna mimo wszystkie wysiłki jej przywódców nie daje żadnej gwarancji stałości politycznej i społecznej.

CHARAKTER REWOLUCJI KOMUNISTYCZNEJ.

Ponieważ rewolucja komunistyczna doszła do skutku, godzi się określić jej charakter. Ograniczymy się do następujących stwierdzeń, opartych na znajomości faktów ściśle ustalonych; niektóre z nich są udowodnione na podstawie opisów i pism które mamy przed oczami. Uważamy, że trudno znaleźć fakty lepiej udowodnione, niż te, które pochodzą z prowincji, oswobodzonych spod władzy komunistów. Pod panowaniem armii komunistycznej pozostaje jeszcze częściowo albo w całości kilka prowincji; stnieje bardzo mało informacji o zbrodniach tam popełnianych, o ich liczbie i rodzaju.

Oceniając w sposób ogólny ekscesy rewolucji komunistycznej w Hiszpanii, można stwierdzić, że nie ma w historii narodów za-

chodnich drugiego objawu takiego zbiorowego barbarzyństwa, takiego nagromadzenia zamachów na podstawowe prawa Boga, społeczeństwa i osoby ludzkiej (i to w niewielu tygodniach). Byłoby trudno odszukać w dziejach ludzkich taką epokę albo taki naród, który by przedstawiał obraz tak strasznego rozwydrzenia. Nie zamierzamy podać tu żadnych uwag charakteru psychologicznego ani społecznego, wymagałoby to osobnej rozprawy. Ta rewolucja anarchistyczna jest „wyjątkowa w historii“.

Należy dodać, że rzeź ofiar i niszczenie rzeczy było przez rewolucję komunistyczną „zamierzone naprzód“. Krótko przed rewoltą przybyło z Rosji 79 agitatorów specjalistów. Komisja Narodowa Zjednoczenia Marksistów nakazała w owym czasie utworzenie w wszystkich miastach milicji rewolucyjnych. Niszczenie świątyń albo co najmniej sprzętu kościelnego było systematyczne i seryjne. W ciągu jednego miesiąca doszło do tego, że żaden kościół nie mógł już służyć kultowi. Począwszy od r. 1931 Liga Bezbożników miała w swym programie tak ujęty artykuł: „Plebiscyt, na jakie cele należy przeznaczyć kościoły i domy parafialne“; a jeden z komitetów prowincjonalnych nakazywał: „Miejsce albo miejsca poświęcone dotąd kultowi obrócić się na magazyny zbożowe, targi publiczne, biblioteki ludowe, łaźnie, domy higieny i t. p., zależnie od potrzeb każdego miasta“. Celem zgładzenia znanych osobistości, ustalonych za przeciwników rewolucji, ustalono już przedtem „czarne listy“. W niektórych figurował na pierwszym miejscu biskup. W sprawie kapłanów oświadczył jeden z przywódców komunistycznych wobec postawy ludu, zamie-

rzającego oddalić proboszcza: „Mamy rozkaz wytepienia tego nasienia“.

Najwymowniejszym dowodem na to, że zupełne zniszczenie świątyń i zgładzenie całkowitz kapłanów było z góry postanowione, jest przerażająca cyfra ofiar. Chociaż cyfry nie są jeszcze ustalone, możemy liczbę kościołów zniszczonych albo całkowicie spustoszonych określić na około 20.000. Liczba zamordowanych kapłanów (w diecezjach spustoszonych średnio 40 na 100, w niektórych nawet 80 na 100) wynosi tylko spośród kleru świeckiego w przybliżeniu 6.000. Polowano na nich z psami, ścigano poprzez góry, tropiono zawzięcie, gdzie mogli się ukryć. Mordowano ich bez procesu, często natychmiast, dlatego tylko, że byli kapłanami.

Rewolucja ta była niewymownie okrutna. Rzeź przybrała formy strasznego barbarzyństwa. Wymienia się ponad 300.000 ofiar spośród świeckich, których zamordowano jedynie z powodu ich przekonań politycznych, a szczególnie religijnych: w ciągu pierwszych trzech miesięcy stracono w samym Madrycie przeszło 22.000 osób. Nie ma prawie wsi, gdzie by nie wytepieno najbardziej znanych prawników. Co do „formy“: nie było ani oskarżenia, ani dowodów, najczęściej nawet ani procesu. O karach można powiedzieć, co następuje: wielu okaleczono a potem ścięto; innym wydłubywano oczy, wycinano język, innych rozcinano siekierą. Słowem stosowano najwymyślniejsze okrucieństwa na sługach Bózych. Z poczucia wstydu i litości nie chcemy wchodzić w szczegóły.

Rewolucja ta była „nieładzka“. Nie uszanowano wstydu kobiety, nawet poświęconej Bogu. Sprofanowano groby i cmentarze. W sławnym klasztorze w Ripoll zniszczono grobowce; pomiędzy nimi znajdował się grobowiec dynastii katalońskiej Wilfreda i grobowiec odnowiciela sławnego klasztoru, biskupa Morgadesa. W Vich sprofanowano grób wielkiego Balmesa; czytamy, że bawiono się w piłkę czaszką wielkiego biskupa Torras y Bages. W Madrycie i na starym cmentarzu w Huesca utworzono setki grobów, aby obrabować trupy z ich złotych zębów i pierścieni. Pewne formy męczeństwa kazały się domyślać zamroczenia rozumu, jeżeli nie całkowitego braku wszelkich uczuć ludzkich.

Rewolucja ta była „barbarzyńska“, gdyż zniweczyła dzieło cywilizacji długich wieków. Zniszczyła tysiące dzieł sztuki, znanych ogólnie. Złupiła i spaliła archiwa, uniemożliwiając badania historyczne i sprawdzanie dowodów prawnych i społecznych. Istnieją setki obrazów poklutek, rzeźb strzaskanych, cudów architektury zniszczonych na zawsze. Możemy powiedzieć, że skarbiec sztuki, szczególnie religijnej, wzbogacony w ciągu wieków, został w czasie kilku tygodni bezmyślnie zniszczony w okolicach, podległych komunistom. Dynamit dokonał w Tarragonie swego dzieła nawet na rzymskim łuku triumfalnym, który nietknięty przetrwał dwadzieścia wieków. Sławne zbiory sztuki katedry toledońskiej, pałacu Liria, muzeum Prado zostały haniebnie ograbione. Liczne biblioteki przepadły. Żadna wojna; żadne rozruchy społeczne nie stworzyły w Hiszpanii w żadnym wieku takiej ruiny. Co prawda nigdy nie rozporządzano w tym celu takimi środkami jak organizacja, oparta na naukowej podstawie w służbie strasznego dzieła zniszczenia, zwłaszcza przedmiotów religijnych, nowoczesna technika komunikacyjna i niszczyielska, dostępna dla każdego zbrodniarza.

ANTONI WAŚKOWSKI

Tercyny o Świętym Poecie z Assyżu

Od gajów złotych, od pól Porcjunkuli,
kędy trzód dzwonią zagubione echa
i zmierzchy wioczą się we mgieł koszuli;

spod nieba, co jest jak błękitna strzecha
pełna skrzydlatych, rozśpiewanych gości;
spod słońca, co się serdecznie uśmiecha;

z ziemi Ubóstwa, Dobroci, Miłości
we świat poszedłeś Ty, święty Poeto,
jak ludzie cisi, pokorni i prości..

Zwierz w czarnych kniejach, ptak w błękitie wie to,
żeś im — choć człowiek — kochankiem i bratem,
Ty, najbiedniejszy syn dolin Spoleto...

O! ciesz się słońcem! ciesz się każdym kwiatem!
gadem, co pełza i ptakiem, co leci!
Ty, Chrystusowym znaczony stygmatem!...

Dzisiaj my za Tobą w pochodzie stuleci
idziemy, kornie pochylając głowy,
uczniowie, bracia najmniejsi — poeci...

I Miłość Twymi pozdrawiamy słowy,
Miłość, co serca nam bierze i tuli,
boś oto Zakon w nas zbudował nowy!...

¹⁾ I część listu pasterskiego podaliśmy w „Tygodniku“ z 26. IX.

J. BIEDRZYCKI

Cztery oblicza marksizmu

W Polsce mamy znaczną ilość ludzi o t. zw. „marksistowskim światopoglądzie”. Większość z nich nie należy do organizacji socjalistycznych ani komunistycznych i nie bierze czynnego udziału w współcześnie walczącym ruchu socjalistycznym ani komunistycznym, a ogranicza się do roli t. zw. sympatyków.

Rzecz jednak znamienita, że wśród owych sympatyków marksizmu, jak i nawet wśród czynnych działaczy partyjnych realizujących wskazania Karola Marksa, jest bardzo niewiele takich, którzy zadali sobie trud przedstawiania i zrozumienia podstaw nauki Marksa, wyłożonej w jego trzytomowym dziele p. t. „Kapitał”. Gdyby zaś zdobyli się na ten wysiłek, to może zrozumieliby, że konsekwentnymi marksistami są tylko komunistami i że ścieżka marksizmu prowadzi nieuchronnie do rewolucyjnej katastrofy i bolszewickiego zwyrodnienia.

Niewątpliwie mamy w Polsce znacznie więcej antymarksistów, niż zwolenników marksizmu, ale ich negatywny stosunek do marksizmu, czyli materializmu dialektycznego, oparty jest raczej na instynktownej odradzie i powierzchownych wiadomościach, niż na gruntownej znajomości doktryny przeciwników. I wśród tej kategorii ludzi też rzadko spotyka się jednostki, znające „Kapitał” w oryginale.

UWAGI WSTĘPNE.

1) — Marksizm, pod którego sztandarem od lat dwudziestu niszczone jest Rosja, od kilku lat dezorganizowane Chiny, a od roku rujnowana Hiszpania, jest systemem społecznym, poszczególnymi częściami łączącym się w logiczną całość. Przy tym nie jest to tylko system naukowy, lecz również praktyczna nauka społeczna, swego rodzaju nowa religia, przesiąknięta własnym patosem i działająca na masy, zapalająca w duszach nowy entuzjizm po wypaleniu w nich prawdziwych religijnych uczuć.

2) — Marksizm często bywa przedstawiany jako tylko doktryna ekonomiczna. Nie jest to słuszne, gdyż swój materialistyczny światopogląd rozciąga marksizm nie tylko na dziedzinę życia gospodarczego, ale również na całe życie jednostek i na całe dzieje narodów.

3) — Marksizm ma cztery oblicza: a) jako system filozofii historii, b) system teorii ekonomii, c) teoria dynamiki społecznej, i d) strategii społecznej.

Przyjrzymy się tym czterem obliczom marksizmu.

MARKSIZM A FILOZOFIA HISTORII.

Marksizm postawił hipotezę, niczym nie udowodnioną, w którą jednak kazał wierzyć swoim zwolennikom, że świadomość społeczna człowieka wytwarza warunki gospodarcze. Jest to t. zw. „teoria materializmu dziejowego”, według którego rozwój ludz-

kości, postęp moralny, religia, rozwój nauk, urządzeń społecznych, politycznych i t. d., jest skutkiem takiego lub innego stanu rozwoju stosunków w produkcji, w gospodarstwie. Engels, współpracownik Marksa wyjaśnia: „przyczyny wszystkich społecznych zmian i politycznych przeobrażeń trzeba szukać nie w głowach ludzi, nie w wzrastającym przenikaniu myśli, i nie w odwiecznej prawdzie lub sprawiedliwości, a w zmianach sposobów produkcji i wymiany; nie w filozofii, lecz w ekonomice odpowiedniej epoki”.

Hipoteza ta jest błędna. Nie można oczywiście pomijać czynnika gospodarczego w życiu i w historii, lecz błąd Marksa polega na całkowitym odrzuceniu czynnika psychicznego w procesach historycznych, którego rola jest nie mniejsza od czynnika gospodarczego.

Za to błąd ten dał Marksowi i jego następcom „naukową” możliwość tłumaczenia procesów historycznych jako wyniku wyłącznie przemian gospodarczych, a więc ułatwił odwracanie uwagi mas od często dominującej roli czynników religijnych i narodowych, a nawet więcej, bo ułatwił organizowanie mas do walki z religią i ruchami narodowymi.

MARKSIZM, A TEORIA EKONOMII.

W „Kapitał” Marksa znajdujemy jakby kurs ekonomii politycznej, zawierający wykład logicznie opracowanego systemu, którego podstawowymi składnikami są dwie teorie: 1) teoria wartości, oparta na pracy fizycznej robotnika; 2) teoria t. zw. nadwartości (Mehrwert).

1) Pierwsza z tych teorii sprowadza się do tego, że wartość wymienna dóbr gospodarczych tworzy się pracą robotnika i równa się ilości pracy, zużytej na wytworzenie danych dóbr gospodarczych (towarów). Ale wg. Marksa nie każda praca stwarza wartośći gospodarcze, lecz tylko praca, która przy danym poziomie techniki w określonej społeczności jest „społecznie niezbędna” dla wyprodukowania danego dobra gospodarczego. Cena rynkowa towarów — mówi dalej Marks — może pod wpływem popytu i podaży ulegać odchyleniu od robotniczej wartości wymiennej, ale w normalnych warunkach popyt winien być równy podaży i wtedy cena nie odchyli się od robotniczej wartości wymiennej.

Błąd zasadniczy tej teorii tkwi w tym, że nie cena jest wynikiem wartości wymiennej, a na odwrót: wartość wymienna jest skutkiem ceny rynkowej. Ponadto Marks w poszukiwaniach ogólnych właściwości towarów, pomija ich użyteczność. Wreszcie, są przecież dobra ekonomiczne wymienne, które nie powstały z pracy robotniczej, jak np. ziemia, lasy i inne dary przyrody.

2) Teoria „nadwartości” jest bardziej

skomplikowana. Polega ona na tym, że gdy przedsiębiorca-kapitałista najmuje robotnika, to płaca robotniczą, którą mu płaci, równa się wartości wymiennej najmowanej (kupowanej) siły roboczej. A że w kapitalistycznej społeczności praca robotnicza jest towarem, podlegającym prawom pobytu i podaży, przeto wartość wymienna siły roboczej równa się tej ilości pracy, jaka jest niezbędna do wytworzenia produktów potrzebnych do utrzymania robotnika i jego rodziny. Nacisk zaś armii bezrobotnych obniża tę ilość produktów do minimum egzystencji. W taki sposób, jeżeli produkty niezbędne dla egzystencji robotnika i jego rodziny można wyprodukować przez 6 godzin pracy, to płaca robotnicza będzie się równała tym 6 godzinom pracy, czyli 6 jednostkom wartości.

Ale Marks twierdzi, że za tę płacę (za 6 godzin) przedsiębiorca zmusza robotnika do pracy nie przez 6 godzin, lecz przez 8, 10 lub nawet 12 godzin. I wtedy robotnik wytwarza produkty, których wartość wynosi 8, 10 lub 12 jednostek wartości. Następnie przedsiębiorca sprzedaje na rynku towar wyprodukowany przez robotnika i uzyskuje 8, 10 lub 12 jednostek wartości, czyli otrzymuje „dodatkowo” 2, 4 lub 6 jednostek wartości. To właśnie jest „nadwartością”, która jest wynikiem eksploatacji robotnika przez kapitalistę i równa się ilości pracy, ukradzionej robotnikowi.

Teoria ta ma ogromne braki i błędy. Naprzód — pojęcie „ilości pracy społecznie niezbędnej” dla wyprodukowania danego towaru jest pojęciem praktycznie nieuchwytnym. Dalej, przy jednym i tym samym stanie techniki w danym czasie, jeden i ten sam towar może być wykonany w różnych fabrykach różnymi sposobami, wymagającymi różnej ilości pracy. Wreszcie nawet na przykładach, którymi operuje Marks w „Kapitał”, wykazać można, że jego teoria „nadwartości” posiada sprzeczności i że ani ceny pracy robotniczej, ani ceny towarów na rynku nie kształtują się według teorii Marksa. Niesłuszne jest też pomijanie pracy duchowej człowieka przy produkcji, osobistych zdolności, pomysłowości etc. (por. Erasma Majewskiego „Kapitał”, w której autor przeprowadza gruntowną krytykę marksizmu).

Ale marksizm uprzeżywie trzyma się błędnej teorii o „nadwartości” i czyni to nie w imię szukania naukowej obiektywnej prawdy, lecz dlatego, że teoria ta jest wygodnym narzędziem propagandy rewolucyjnej na terenie mas robotniczych.

MARKSIZM, JAKO TEORIA DYNAMIKI SPOŁECZNEJ.

Poglądy Marksa o rozwoju gospodarczym i dynamice społecznej oparte są na teorii rozwoju, zapożyczonej od Hegla: te-

za — antyteza — synteza. Naprzód na świecie było gospodarstwo przedkapitalistyczne, w którym robotnik (rzemieślnik) był właścicielem narzędzi produkcji (teza). Później przyszła gospodarka kapitalistyczna, w której robotnik został pozbawiony narzędzi produkcji (antyteza). Następnie przyszło ma wywłaszczenie przedsiębiorców-kapitałistów i ustroj społeczny (synteza).

Zdaniem Marksa, istnieje „prawo koncentracji kapitałów”, według którego ilość posiadaczy maleje, coraz większe kapitały koncentrują się w coraz mniejszej ilości rąk, a ilość nie posiadającego proletariatu (eksploatowanych robotników) wzrasta. W końcu proletariat usunie kapitałistów i opanuje narzędzia produkcji.

Błąd tej teorii jest oczywisty. W rzeczywistości nie obserwujemy koncentracji kapitałów, lecz rozdrobienie. W przemyśle elektryczność wprowadza dekoncentrację szeregu przemysłów. Statystyki wykazują nie zanik, lecz wzrost ilości drobnych i średnich przedsiębiorstw. A upadek kapitalizmu nastąpił nie w krajach o największym rozwoju kapitalizmu, lecz w krajach o bardzo słabo rozwiniętym kapitalizmie, jak Rosja; upadek zaś ten nie nastąpił jako wynik nieuniknionego przekształcenia się ustroju kapitalistycznego w socjalistyczny, lecz nastąpił w wyniku gwałtu fizycznego, w wyniku komunistycznej rewolucji.

MARKSIZM JAKO TEORIA STRATEGII SPOŁECZNEJ.

Socjalizm utopijny (St. Simon, Fourier, Luis Blanc, Owen) apelował do rozumu ludzkiego, licząc, że wystarczy zapoznać ludzi z zaletami ustroju socjalistycznego, a ustroj ten ludzie zechcą wprowadzić.

Marks wysmiewa się z naiwności utopistów i zwraca się do siły, a mianowicie do siły zorganizowanego proletariatu. Marks zwraca się do proletariatu i wzywa do obalenia siłą kapitalizmu. I to jest istotą i najważniejszym obliczem marksizmu.

Cała „teoria walki klas” została po to skonstruowana, aby pogłębić antagonizmy społeczne i rozpalić nienawiść klasową w masach, uwiedzionych mirażem „nowego ustroju”, nowego socjalistycznego świata.

Gdy się bada organizację Kominternu w Moskwie i instrukcje stamtąd nadsyłane dla komunistów w innych państwach, to widać, jak na dłoni, że nie tyle chodzi o propagandę ekonomiczną marksizmu w masach, ile o doprowadzenie nienawiści do stanu wrzania i do mobilizacji mas w celu wywołania zbrojnej rewolucji.

(Dalszy ciąg ze str. II).

ST. NOWAKÓWNA

Ewdosia Błażewiczyczna u „dochterów”

(Obrazek z Białorusi).

Z dziedzińca dobiegało ujadanie psa... Wściekle, dychawiczne i nieustanne...

— Babula, babula, a wstawajże już raz i wyjrzyj na dwór, kto idzie; może złodziej zakrada się do sliwek — odezwał się spoza uchylonych drzwi wiodących do pokoju gniewny, kobiecy, głos.

— A, Boh, ty mój, Boh; dopiero to leżała a użo i ustań, ustań babula, a kaliż ja paślpu, kaliż?!

A pies ujadął niezmiernie, coraz głośniej.

Babula stękając i wdychając, zwlokła się z łóżka, przyodziła w ciemności, i tukać się po omacku w izbie, poczęła szukać na przypiecku zapalaka. Stukot przewracanych garnków obudził nareszcie śpiącą twarzo na drugim barłogu Praksedę, służącą jednej z pańienek.

— A chwaliara na ciebie!... Tołczyz się po nocy, niehodnaja?!

— Ja niehodnaja?... Rozżaliła się babula. — U dzień i u naczy haruju, rabotaju, nia doślpu?!

Umilkła, bo znalazła na przypiecku zapalaki i rozpalila wiszącą lampkę. Załedwie knocie oczko lampki zamigotało nikłym światełkiem, a już obudził się rój much i z gniewnym bykaniem poczał osiadać na czarnym piecu; na powalanych sadzą ścia-

nach, na brudnych garnkach, na stole, na barłogu i na ludzkich twarzach.

Wściekle ujadanie psa wzmogło się jeszcze i połączyło ze stukotaniem bardzo gwałtownym do drzwi. A tam za drzwiami ktoś krzyczał przeraźliwie:

— A ludcy, wy maje, ludcy, odczynicie dzwiry! Ten sabaka zakusić mienie... A od czynicie skarej?!

— Idu, idu, nia kryczy — uspokajała babula zdenerwowanego gościa, szamocąc się z żelazną zasuwą drzwi.

Otworzyły się wreszcie zardzewiałe, skrzypiące drzwi i przez wolną przestrzeń do wnętrza dusznej izby wraz z prądem świeżego powietrza i z migotliwym odbiciem pierwszych zórz wbiegł duży, rudny, kudłaty pies, z podkulonym ogonem i z najeżoną na grzbiecie sierścią.

— Niedźwiedź! — paszoł wont do budy, ty wierbludzie! — krzyknęła na niego babula i pogroziła mu kaczargą...

Na ten groźny widok wierne psisko wybiegło na dwór czymprędzej.

— A chadzi u chatu, nia boi się — zapraszała babula niezdecydowanego gościa.

Podobny do zjawiska gość wtoczył się do izby. Zagapiła się na niego babula i z zdziwienia zapomniiała postawić kaczargę w kącie. Rudowłosa Prakseida otworzyła gębę

szeroko od ucha do ucha i wytrzeszczyła ślepię.

— Dobry wieczór — ozwała się przybyła baba zwyczajem tych stron.

— Dobry wieczór — szepnęła babula... A szto nada? — pytała wodząc wzrokiem po dziwnej postaci baby, po tej głowie okutanej w dziesięć chust, lnianych i wełnianych, czarnych i białych, sinych i rabajich (szarych), i na ten walaający się u dołu pomiędzy bosymi nogami, wystający spod długiego kożucha strzęp rozdartej spodnicy (ślaz zębów Niedźwiedzia).

— Ja bolnaja, do dochtorki, przysła? — skarżyła się smutnym głosem baba.

— A cóż cię balić?... Zaciekała się leniwa Prakseida.

— Usio, usio balić — chałowa szumiec, nosam nia słysz, uhami nja czuju, kolenki swierbiać?!

— A brucha ciabie nia balić?!

— Nie, nie balić.

— Możeć ty kaltun majesz?!

— E kakij ty kaltun?!

— Obruszyła się przybyła zdejmując chusty.

— Panienska, panienska, gość przyszoł da ciebie a chodzi u kuchniu?!

— Idu, już ide! — odpowiedział jej ten sam głos, który ją niedawno obudził... Na progu stanęła „dochtorka”.

— Ot i nasza panienska — powiedziała babula.

Przybyła otworzyła szeroko że zdziwienia swoje jedyne niezastonięte oko.

— Boh ty mój, Boh — szepnęła — A sztoż to? — Mużczyna czy baba?!

I poczęła błąd stop do głów oglądać pannę Marię, „dochtorkę”.

— Tę niską, drobną postać, tę pomarszczoną twarz, rumianą jak jabłuszko, tę roztrzęsioną, po męsku strzy-

żoną, siwą czuprynę i ten dziwny strój... Męską blużę, kloszową spodnicę, buty z cholewami i dymiącą fajkę w ustach...

A panna Maria, pykając fajkę i spluwając na bok silną spytłką:

— A odkul ty, ciota?

— Ja Ewdosia Błażewiczyczna z Krewa.

Szła całaju noczku da ciabie, nie spała...!

— A czemu ty okutałaś tak głowę?

— Balić, balić panienko, haniebno balić!

— Pokaż.

Ewdosia trzęsącymi rękami poczęła odwiązywać chustkę po chuście. Zniecierpliwiona panienska szarpnęła gwałtownie, zdzierając ostatnią brudną szmatę. Ewdosia syknęła z bólu i ukazała ciekawym oczom bab zaogniony, zacerwieniony, policzek.

— Róża! Dwa pudry żyta — mruknęła panna Maria.

— Ajajaj... — zadziwiła się baba. — Nie udzierżu dwa pudry za twary, nie udzierżu, daj lepsz maści, zamawli chwarobu?!

— Głupia! — zapisał coś od przaga... Nie na twarz, tylko dochtorce za poradę daj dwa pudry żyta!

Ewdosia ogładnęła się w stronę otwartych drzwi i zobażyła siostrę sławną „dochtorkę”, sta. za od niej o lat czterech, pannę Helenę. Niską, chudą, o krzywej i pato, złośliwooką, o zacisniętych skąpych wargach.

— Babula — szepnęła „dochtorka” panna Maria. — ...Uważaj na pierzyne.

I podeszła do małej szafeczki. Wydobyla z niej potrzebne medykamenty. Zakurzoną flaszeczkę z zaschniętym na dnie afamentem: Zardzewiała stalówka i różaniec.

— Ustań na kofienki? — krzyknęła na Ewdosie babula.

Przerażona Ewdosia uklękła posłusznie, a za nią nabożna Prakseida. Panna Maria

Dr MARIAN RYTEL (Kraków)

Marzenia senne

Co dnia o jakiej godzinie wieczornej przestajemy się interesować światem zewnętrznym, szukamy kąta, w którym być by ciemno i cicho zarazem, układamy się wygodnie, przykrywamy ciepło i zasypiamy. Co ranka budzimy się, by znowu, jak co dzień, zająć się tymi samymi sprawami i cieszyć się tymi samymi nadziejami, które i wczoraj były naszym udziałem. Rozpoczynamy naszą pracę w tym samym miejscu, w którym wczoraj zatrzymaliśmy się; pomiędzy jednym dniem a drugim istnieje ciągłość często niczym nieprzerwana. Dzieje się tak wtedy, kiedy czas pomiędzy zaśnięciem a przebudzeniem jest pusty, kiedy nie podczas naszego snu się nie dzieje, lub ściślej, kiedy niczego w tym czasie nie przeżyjemy. Budząc się przypominamy sobie to, co się działo bezpośrednio przed naszym zaśnięciem, a cały czas spania nie istnieje dla nas zupełnie. Ale nie zawsze tak bywa. Często, nieraz nawet bardzo często, i w tym czasie przeżywamy jakieś zdarzenia, wesołe lub smutne, a czasami nawet straszne, oglądamy różne rzeczy i różnych ludzi, prowadzimy rozmowy i słuchamy muzyki, a czasem nawet pachną nam kwiaty, ciągnie ku sobie obficie zastawiony stół. Te przeżycia, które mają miejsce pomiędzy momentem zaśnięcia i przebudzenia się nazywamy marzeniami, względnie zwidzeniami sennymi, lub po prostu snami.

Czy każdy człowiek śni i czy w czasie każdego snu przeżywamy zwidzenia senne? Jest to pytanie, na które trudno dać odpowiedź. O zwidzeniach sennych możemy mówić tylko wtedy, kiedy je przypominamy sobie w czasie jawy. Jeżeli o naszych ma-

rzezeniach zapominamy po przebudzeniu się, to jest taka sytuacja, jakby tych marzeń wcale nie było. Istnieją ludzie, którzy twierdzą, że nigdy nie przeżywają zwidzeń sennych. Te wypowiedzenia świadczą na pewno o tym, że ci ludzie nie wiedzą o swoich marzeniach sennych. Nie można jednak na tej podstawie rozstrzygnąć, czy naprawdę nie przeżywają zwidzeń sennych, czy też tylko po przebudzeniu zapominają całkowicie o tym, że śnili. I nie ma w ogóle sposobu na wyjaśnienie tej kwestii. Olbrzymia większość ludzi przyznaje, że miewa marzenia senne i pamięta dokładnie ich treść, choć często się zdarza, że czasami wiemy, iż coś nam się śniło, ale nie potrafimy powiedzieć, co to było.

Jeżeli chodzi o częstość snów, to najczęściej mają ich ludzie, którzy śpią płytko, lekko i mają przerywany sen. Ludzie, którzy śpią twardo, mają mało zwidzeń. Wiadomo, że głębokość snu (fizjologicznego) zależy od różnych czynników. Ludzie zadowoleni z siebie i ze świata śpią twardo i mało mają zwidzeń. Ich sen jest przysłowiowym „snem sprawiedliwego“. Sen ludzi, których sytuacja życiowa jest niepewna, niestabilna, którzy mogą się czegoś w życiu obawiać, względnie spodziewać, jest niespokojny i obfituje w marzenia senne. Dlatego też zapobnie kobiety częściej śnią, niż mężczyźni, kobiety niezamężne jeszcze więcej, niż te ich siostry, które już ustaliły swój los przez małżeństwo.

I. OGÓLNA CHARAKTERYSTYKA MARZEŃ SENNYCH.

Zazwyczaj porównuje się marzenia senne do przedstawienia rozgrywanego się nie tyle przed oczyma, ile wobec śpiącego. Tak, jakby po zaśnięciu podnosiła się jakaś niewidoczna kurtyna i na odsłoniętej scenie zaczęły się rozgrywać najrozmaitsze rzeczy. Właściwie ze względu na wielką ilość i wielką niejednokrotnie szybkość przesuwania się obrazów porównanie do sceny teatralnej nie jest zbyt odpowiednie. Lepszym jest porównanie do taśmy filmowej, rzucającej na ekran cały szereg najróżnorodniejszych obrazów. Film ten jest czasami niemy, a czasami dźwiękowy — pełen ludzkich głosów i muzyki. Jest to nawet nieraz i film kolorowy. Czasami obrazy na ekranie są bardzo ostre i żywe, czasami niewyraźne, nieostre. Jest to szczególne przedstawienie. Obserwujący je rzuca czasem swoje miejsce na widowni i przenosi się na ekran, łączy się z bohaterami sztuki i sam w niej bierze udział. Zdarzyć się przy tym może, że film przedstawia scenę jego własnego pogrzebu. Idzie wtedy spokojnie za swoją trumną, lub dla odmiany, odczytuje napis na swoim własnym nagrobku i rozmawia ze znajomym o swojej śmierci. Czasem bywa i tak, że

śniący jest równocześnie i widzem i bohaterem akcji, toczącej się na ekranie.

Filmom, które oglądamy w teatrach świetlnych, stawiamy cały szereg wymagań: film musi mieć pewien sens, — obrazy, z których się składa, muszą stanowić pewną harmonijną całość, — przygody, które na nim oglądamy, muszą być przynajmniej prawdopodobne i nie znieslibyśmy, gdyby aktorzy opowiadali nam brednie. Inaczej jest w marzeniach sennych. Różne obrazy następują po sobie w sposób nie spodziewany i nie dający się przewidzieć. Przypuszczamy, że i tu następstwo obrazów nie jest zupełnie przypadkowym, że i tu tkwi jakiś sens, choć głęboko ukryty. W marzeniach sennych nie rażą nas ani rzeczy najbardziej nieprawdopodobne, stojące w rażącej sprzeczności z prawami przyrody, ani nonsensy. Pewnej pani przysnił się po śmierci jejomosi, który za życia miał przykry zwyczaj skarżenia się swym bliźnim na zły stan zdrowia. Kiedy we śnie ów pan załił się na swoje serce, owa pani dała mu następującą odpowiedź: „Niech się pan nie martwi, sekcja zwłok wykazała, że ma pan serce zupełnie zdrowe“.

Zazwyczaj siedząc w kino-teatrze, zdajemy sobie sprawę z tego, że to, co oglądamy na ekranie, jest fikcją. Tylko w bardzo rzadkich chwilach zapominamy o tym i bierzemy akcję filmu na serio, to znaczy jako coś rzeczywistego. Złudzenia takie przeżywamy bardzo rzadko i nigdy nie trwają one zbyt długo. Inaczej jest z naszymi zwidzeniami sennymi. Prawie zawsze obrazy, które przeżywamy we śnie, przedstawiają się nam jako coś rzeczywistego istniejącego, jako zdarzenia prawdziwe, a nie tylko pomyslane. I tylko w bardzo rzadkich wypadkach zdajemy sobie sprawę z ich prawdziwej natury: „przecież to tylko sen“. Dzieje się tak nawet wtedy, kiedy przeżywamy najbardziej nieprawdopodobne zdarzenia i stoimy wobec najoczywistszych nonsensów.

2. MATERIAŁ MARZEŃ SENNYCH

Skąd się biorą te zdarzenia, które oglądamy we śnie i w których sami czasem bierzemy udział? W czasie jawy różne nasze przeżycia powstają w ten sposób, że świat otaczający oddziałuje na nasze organy zmysłowe, że pobudzenia, pochodzące od wewnętrznych organów naszego ciała, informują nas o stanie tych ostatnich (w warunkach normalnych prawie niedostrzegalne, ale za to bardzo silnie odczuwane w razie schorzenia odpowiedniego organu), że przypominamy sobie rzeczy minione, a staramy się wyobrazzić przyszłe. Z tym, co spostrzegamy naokoło siebie, względnie z tym, co sobie wyobrażamy, łączą się nasze obawy i pragnienia, uczucia przyjemne i przykre. Poza tym ruch i związana z nim praca mięśni do-

starca nam odrębnych wrażeń. Tak się dzieje na jawie, a jak jest we śnie? Skąd się bierze ten materiał, z którego zbudowane są marzenia senne? Odpowiedź na to pytanie jest stosunkowo prosta: — ze świata zewnętrznego, z naszego ciała i z naszej pamięci.

Takie postawienie sprawy może wywołać zdziwienie. Na rolę pamięci wszyscy się zgodzą, bo komuż nie śniły się zdarzenia z jego wczesnego dzieciństwa? Ale skąd oddziaływanie świata zewnętrznego? Przecież w czasie snu niczego nie widzimy, ani nie słyszymy i w ogóle nie czujemy nic! W gruncie rzeczy jest inaczej. Wprawdzie nasze narządy zmysłowe są podczas snu znacznie mniej czułe, niż w stanie jawy, i znacznie mniej sprawnie działają, tem nie mniej i w czasie snu spełniają one swoją rolę, polegającą na rejestrowaniu pobudzeń, które na nie oddziałują. A tych ostatnich i w czasie snu nie brakuje. Chociaż zgasimy światło w pokoju, to i tak może się tam dostać światło latarni ulicznej i co pewien czas rozjaśni nam pokój reflektory samochodowe. Mimo zamkniętych powiek, pewna część światła przedostanie się zawsze do gałki ocznej. Rozmowa w sąsiednim pokoju i hałasy uliczne czują się wśród najgłębszej nocy na to, by zaatakować nasz narząd słuchu. Lekki ruch powietrza w pokoju, obsunięcie się kołdry itp. oddziałuje na nasz zmysł ciepła i zimna.

Zarówno w czasie jawy, jak podczas snu, odbywają się w organizmie najrozmaitsze procesy: pracują stale narządy krążenia, oddechania, trawienia i inne. O pracy tych narządów nie wiemy nic, dopóki w ich działaniu nie nastąpi jakieś zaburzenie. Jeżeli takie zaburzenie nastąpi, zazwyczaj odczuwamy silniejsze, lub słabsze bóle w odpowiedniej części naszego ciała. Zdarza się przy tym niejednokrotnie, że nim choroba wybuchnie w całej swej potęgę, już na pewien czas przedtem, objawiają się pewne jej sygnały. Objawy te są nieraz tak słabe, że w czasie jawy nie spostrzegamy ich, po prostu dlatego, że świat otaczający dostarcza nam zbyt wiele silnych doznań. Nastawieni na odbieranie wrażeń od naszego otoczenia, względnie zajęci wyteżającą pracą, nie jesteśmy w stanie dostrzec tych słabych sygnałów, które nie mogą niejako „doścignąć się“ do naszej świadomości, zajętej czym innym. Natomiast w czasie snu, kiedy naszym kontakt z światem zewnętrznym jest wybitnie rozluźniony, nawet słabe wrażenia ustrojowe mogą sobie wywalczyć odrobinkę naszej uwagi i w tej czy innej postaci objawić się w marzeniach sennych. Wiedzieli już o tym lekarze w starożytności i swoim chorym kazali opowiadać marzenia senne, by na tej podstawie stawiać swoje diagnozy.

(Ciąg dalszy na str. IV).

Cztery oblicza marksizmu

(Ciąg dalszy na str. III).

Marks, Lenin, Trocki, Bucharin, Stalin i inni — pisali dużo o metodach walki rewolucyjnej (zbrojnej), o strategii i taktyce wojny domowej. Istnieje kompletna zgoda między uczonym Marksem i praktycznymi jego uczniami z czerezwyczajek (G. P. U.).

Ta strona marksizmu jest niewątpliwie najtrudniejsza do zwalczania. Zawołanie „proletariusze wszystkich krajów łączyć się“ ma swój patos i działa na masy. Pieśniadze sowieckie i agenci — też.

Jeśli się chce skutecznie zwalczyć marksizm, to trzeba przewyciężyć idee marksizmu, trzeba dać idee silnie działające i przemawiające do duszy mas robotniczych i mas inteligentkich, aby je przeniknął duch antymarksistowski.

Są dwie tylko idee, które można przeciwstawić skutecznie marksizmowi: chrześcijańska idea religijna i idea narodowa.

włożyła Ewdosi różaniec na szwie. Babula stała z boku, śledząc spod oka ruchy panny Heleny. Panna Maria rozpoczęła „leczenie“. Podczas gdy klęczące babu, do których nie długo przylączyła się także babula modliły się głośno a „dohtorka“ szeptała tajemnicze zaklęcia od róży...

— Boże strzeż, abv ktokolwiek usłyszał to zaklęcie, przepadłoby wszystko i choremu pogorszyłoby się, a dochtorka straciła by dar leczenia ludzi...

Umierająca ciotka Sumorokowa wyuczyła ją tej formułki na łóżu śmierci i panna Maria może ją powtórzyć swojemu następcy tylko na godzinę przed skonaniem.

Ukończyła wreszcie zaklęcie i zaczęła czynić dalsze zabiegi... Uparcie maczała za rdzewiałe pióro w wyschniętym aramencie, malowała przedziwne esy, floresy na zapuchniętej połówce twarzy Edwosinej. Namalowała ich już wiele, gdy niespodziewanie rozległ się krzyk babuli:

— Oddaj pierzynę, złodziejko ¹⁴).

Chytra panna Helena skorzystała z zagapienia się strażniczki spornego skarbu i unosiła pierzynę do swojego pokoju. Babula zadygotała przerażeniem. Moment jeden, a pierzyna zniknie i spocznie na wieki w przepastnym kufrze panny Heleny... Pierzyna dziedziwna, przekazana jej paniencie w spuściznie przez ciotkę Sumorokowa.

Wierna służąca popędziła za chytrą złodziejką uzbrojona w groźną kaczargę... Tuż przed zamknięciem drzwi pokoju panna Heleny udało się dzielnej babuli zahaczyć ostrym końcem kaczarki nieszczesną pierzynę... I uratować! Nastąpił straszliwy zamieszanie i „sądny dzień“ w kuchni... Panna Maria widząc, co się dzieje, zostawiła chorą Ewdosię z półowa zamalowanej twarzy i pobiegła babuli z pomocą.

— Praksesta, Praksesta! A chodź mi do pomocy! — nawoływała panna Helena swoją służącą. Przezorna jednak Praksesta nie chcąc narazić się nikomu, udawała głuchą i pomagała ubierać się ogłupiałej babie.

— Sumaszedszy — szeptała przerażona Ewdosia — zamordujoc mienie, a kaliż ja się podzienu! Tam sobaka niehodny, a tut bandyty... ¹⁷).

I ubrawszy się zaczęła uciekać szybko z izby, oglądając się trwoźnie na strone, czy aby gdzie nie ma rudego psa. Na szczęście obeszło się tym razem bez żadnej już przygody.

Uspokojona Ewdosia szła szybkim krokiem w strone chaty drugiego „dochtora“, który mieszkał niedaleko.

U pana Narbuta „dochtora“ jeszcze wszyscy spali, gdy zaszła pod jego samotnie stojące w szczyrim polu domostwo. Nie było tu ani jednego drzewka, ani marnego ziela w ogródku... Wschodzące, duże, słońce ozłociło małeńkie szwbki w zamkniętych oknach. Dom stał na wzgórk, a obok niego — chociaż tak wcześnie — zebrały się już furmanki z chorymi, którzy tu zjeżdżali po ratunek z różnych stron... Jęczące baby, płaczące dzieci i milczące chłopcy. A z boku stary chłop uciszał kwiczącą świnię. Pan Narbut był wszechstronnym „dochtorem“. Leczył wszystkie choroby i wszystkie stworzenia... I dzieci i baby i ludzi i zwierzęta. I róże, czeraki i suchoty, poruszenia, przestrazy. Leczył tymi samymi kropelkami wódki, zakrapianej zielem. Różną wrzody ludzkie i zwierzęce tym samym kozikiem i darzył pacjentów tymi samymi przekleństwami.

Zadyszana Ewdosia przybyła na miejsce. Zatrzymała się obok najbliższej furki i wdała w taką pogawędkę ze stekającą na niej babą:

— A cóż ciabie balić, ciotka?

— Brucha balić, nie znaju szto to takoje. Jezdziła ja użo, u Wilni, u Arszawu, mnoho hroszy wydała i niczeho nia pamahto... ¹⁸).

— A mozeć ty majesz paruszenie... ¹⁹).

— Oj nie poruszenie, tołki raka... ²⁰).

Ciekawa Ewdosia nie dowiedziała się już, gdzie tej babie wlaż rak, bo oto otworzyły się drzwi i stanął w nich „pan dochtora“ Narbut.

— Mużyk, czy pan — szepnęła do siebie zadziwiona Ewdosia. — Nie chłop, bo ma pańską twarz i dumne czoło... Nie pan, bo nos ma czerwoný, jest bosy i nosi parciane spodnie...

Gapi się Ewdosia na pana Narbuta. I widzi: wiszący u pasa kozik na sznurku i wyglądająca zalotnie z drugiej strony butelkę z wódką... Stoi pan Narbut w blaskach wschodzącego słońca i kiwa się pijany... Stoi i dziwnym wzrokiem obrzuca czekających na niego. I przeklina... Ewdosia żegna się przerażona i przezornie cofa w tył... Przypomniały się jej dziwne plotki i wieści, jakie krążyły po okolicy, na temat pana Narbuta. Ze stracił wielki, pański majątek, że opuścił żonę i gdzieś tam w świecie coś popełnił złego, a potem powrócił i osiadł tutaj z babą przybłądą i pije z nią wódkę i leczy ludzi. A leczy sławno!

Patrzy Ewdosia, a tu ludziska biegną do „pana dochtora“, ten z chorą nogą, ten z chorą świnią, a jęcząca baba z rakiem woła słabym głosem:

— Chadzi siuda do mienie, pan dohtor, chadzi siuda.

Już pan Narbut chodzi pomiędzy ludźmi i leczy.

Różnie chłopu czeraka i świni wrzody pod ogonem tym samym kozikiem... Chorej z rakiem wlewa kieliszek wódki i podchodzi do stojącej z boku Ewdosi.

— Co cię boli, ciotka?

— Róza, pan dohtor, róza.

Pan Narbut wyjmuję kozik i zbliża go do chorej twarzy Ewdosi...

— Nie koli, ²¹) nie chaczu — woła Ewdosia. — I daj ziółek, daj maści...

— Pij! — woła „dohtor“. I chwije się na nogach. — Pij, a będziesz zdrowa.

I Ewdosia pije długo, chciwie, aby wyleczyć chorobę, ukońić przestach i zapomnieć o przygodach dnia...

A potem już nie pamiętała... Z szussem głowy, gorącością w ustach, obudziła się wieczorem poza pagórkim chaty pana „dohtora“. I poszła z powrotem, nocą tryskającą gwiazdami, samotnie w powrotną drogę do Krewa...

— Musić, pajdu do uczonego dohtora, u Krewie, kali hetyje sławne nie pomohli — szeptała sobie nieboga po drodze.

¹⁴) Boże mój, Boże, dopiero położyłam się spać, a już wstaj. Kiedyż ja się wyśpię. — ¹⁵) Cholera na ciebie. Tłuczysz się po nocy, niegodziwa. — ¹⁶) Ja niegodziwa? W dzień i w nocy męczę się, pracuję. — nie dośpię. — ¹⁷) Ludzie wy moi! Ludzie, otwórzcie drzwi, ten pies mnie zadusi, otwórzcie przedej. — ¹⁸) Ja chora; przyszedł do dohtorki. — ¹⁹) A co cię boli? — ²⁰) Wszystko boli; w głowie szumi, nosem nie wacham, uszami nie słyszę, kolana świerzbia. — ²¹) A brzuch ciebie nie boli? — ²²) A mozeć ty masz kołtuna? — ²³) E jaki tam kołtun! — ²⁴) Panienko! Gość przyszedł do ciebie. Chodź do kuchni! — ²⁵) Boże mój, Boże. — Co to? Męgodziwa czy baba? — ²⁶) Ja Ewdosia Bławieznowa z Krena, przez całą noc nie spałam, szłam do ciebie. — ²⁷) Nie utrzymam na twarzy dwóch pudów żyta; daj mi lepiej maści, zamów chorobe. — ²⁸) Ukłękuj. — ²⁹) Oddaj pierzynę, złodziejko. — ³⁰) Wariaty. Zamorduje mienie. A gdzież ja pójdę? Tam straszny pies, tutaj bandyci. ³¹) Brzuch boli. Nie wiem co to takiego... Jezdziłam już do Wilna, do Warszawy; wydałam dużo pieniędzy i nic nie pomogło. — ³²) A mozeć ty masz poruszenie (oberwanie)? — ³³) Oj nie poruszenie, tylko raka.

—o:o—

ANNA WAG

Stygmaty świętego Franciszka

„Wówczas święta Klara, jako prawdziwa córka posłuszeństwa, pobłogosławiła pobożnie chleby znakiem krzyża najświętszego. I dziw! Nagle na wszystkich chlebach ukazał się najpiękniej wyryty znak krzyża.”

Głos Sylwestra przedłużył ostatnie słowo aż do zmiłknięcia. Rozbrzmiewało w ciszy krużganka zachwyconym echem. Poglądził dłoń kartę księgi, aż zaświegotał ptasim dźwiękiem śliksy pergamin. kwitnący rzędkami spłowiałych liter. A do wtóru onemu pogłowski ozwał się naraz południowy dzwon, rozświetlony ku czci Marii. Upadli obaj z Krystynem na kolana w zamodleniu pokornym.

Pierwszy powstał Krystyn i poszedł zaciągnąć mokry szmat płótna, by nie wysychł przygotowany na dziś podkład muru obok gotowego malowidła. Poukładał farby i pendzle ze skwapliwością radą z odpoczynku. Sylwester także kwapił się do referktarza.

— Pójdź, bracie, na posiłek i modlitwy z nami — zaprosił niepewnie.

— Jużem zmówił Agelus, jakoś mnie wyuczył — odburknął Krystyn.

— Nie gardź klasztorną strawą...

Krystyn stanął bratu twarzą w twarz. Zie błyski zapaliły mu się w napastliwych oczach.

— Z głodu nie zdycham jeszcze — warknął — choć z łaskiś mnie wezwał do malowania tutaj. Jeszcze chleba choć i suchego Ofka mi z domu przyniesie!

Wykrzykiwał ostre słowa głosem obelżywym, nadmiernie podniesionym, by każde dotarło do uchodzącego korytarzem Sylwestra.

— Idźże rażno i żryj — mruknął jeszcze Krystyn i splunął, by dodać sobie pewności. Po prawdzie nie zawadziłyby miska polewki jakiej. Juści, z domu jadło mu doniosą, wszelako ileż to gęb czeka na każdy kasek ostawiony przez niego. Matka, Ofka, Ofki matka i bracia mali. Ością w gardle staje chleb na tę myśl. Ale i świecić własną nędzą w referktarzu wśród tych biedaczyn, którzy sami z jałmużny żyjąc, przecie zapłatę mu za malowanie obiecali, także ciężko. No skończy się przecie owo głodowanie. Tu za ścianą, o krok skarb nieprzebrany leży. nie strzeżony, nieobronny, sam się do rąk garnie. Cicho, cicho, tajemnica to jeszcze, o której i myśleć straszno, by kto nie podsłuchał, bo nawet myśli krzyczą radość głosem wielkim.

Można by pójść, zobaczyć, choć raz jeden rzucić okiem. Drzwi otwarte zawsze, a koło drzwi studzienka w murze, kędy zwykły myć ręce po robocie. Nie trudno, niby trafunkiem przejsz niski próg kaplicy.

W korytarzu pusto ale na wprost studzienki brat Rufin rozwarł drzwi do klasztornej wirydarza. Widać go, jak krząta się wśród skąpej, przyziemnej zieleni zamkniętego murami ogródka, podlewa krzaczki bukszpanu i grządkę ruty, lada chwila nadejść może po wodę. Ej, biedaż to, nie da się ukraść tej chwilkę samotności w kaplicy, trzeba wracać.

Ofka czekała już przed niedokładnym malowidłem. Uważne dłonie zastawiały go spodarnie na kamiennym schodzie jadło ubożne, ale zachwyczone oczy nie chciały oderwać się od ściany i cudów na niej wyrażonych.

Jakże bo nie iść urzeczonym spojrzeniem w cichą, błogą samotność podłojnej drlinki. Kędzierzawi się wśród wypartych z ziemi korzenisk zielone runo trawki młodziutkiej. Przysgarść bratków polnych i gwiazd dzistych stąkroci rozbiegła się po łące, szukając miejsce słoneczniejszych. Wiewiórka wyziera z dziupli, na wynajstęj gałęzi kolebie się szafirowa kraska. Gestwiny leszczy nowych krzaków rozgarniają jelenie, wespół z zającem idącym do wodopoju. Radość dla oczu i serca.

Zapatrzoną Ofkę Krystyn odwrócił za ramiona ku sobie.

— Ostawże, dziecko, i dla mnie choć jedno spojrzenie. Także ci się udało?

— Raj chyba Boży!

— Sylwester to zdziałał — spochnurniał Krystyn.

— Toć ty malować masz świętego Franciszka. Gdzież stanie? Kazanie prawie będzie do zwierząt, czy jako?

— Tak, tak niby. Alebym wolał co insze. Kuszenie przez diabła, lub jak Zbawiciel się zjawia świętemu, by go stygmatami naznaczyć.

— Hej, miły Boże! Kiedyż to wydolisz namalować?

— Co ci ta o oto. Jesę lepiej dawaj. Zgłodniałem. Ziąb tu taki w murach, choć lato jeszcze. Człek się od rana spracuje to i zgarzyć nie skóry.

Ubywało kwaśnego mleka z miski, zniknął kęs po kiese razowy chleb. Na dnie koszyka Ofki pozostał jeszcze jeden bochenek, okrągły, rumiano wypieczony, pachnący. Nie podsunęła go jednak w stronę Krystyna, ale wyjąwszy trzymała oburącz wahająca się jakaś i niepewna.

— Szukasz, kogo by nakarmić? Dajno ten chleb, Ofka. A możeś i ty głodna? Powiadaj prędko, bo niebawem i mysz się okruchem nie pożywi.

— Dla Sylwestra przyniosłam — cofnęła się ku ścianie obronnym ruchem.

— Dla Sylwestra? Dość ma tu wszelakich dobrości... Przez taką jałmużnę niewczesną nam ujmę robisz?

— Brat to nasz!

— Mój brat. Nie mianuj go swoim!

— Dobry jest dla cie!

— Noś Ofka chleby, noś. A bacz, czy ci się na którym krzyż nie ukaze — roześmiał się pogardliwie Krystyn i odepchnął miskę z resztą mleka. Ale po chwili przesła mu złość. Dobra ta Ofka jest, pobożna, liłościwa, każdego udarować rada, o sobie zapominając. Wypominać jej to ma, zabraniać? Zgodę jakoś zrobić trzeba.

— Ofka, nie markoć się ino. Słuchaj, co ci rzeke.

— No?

— Zawrzyj oczy, ale mocno stul, a potem otwórz znagła?

— Cóż mi to wytkasz do garści? Jezu! wstęga! Taką materialną, a róże po niej białe, niczym żywe!

— Podoba ci się?

— Takusienka mi dziś Melchior w Kramie pokazywał. Śmiałam się. Gdzieżbym to kupiła. Droga.

— Droga, nie droga. Trzymaj abyś z próżnymi rękami do dom nie wracała a wspomniła o mnie. Ach Ofka, nie tak ja ciebie jeszcze ustroję. Uwidzisz.

— Nie chcę strojów nijakich!

— Coby zaś, dyć żeś dziewczka młoda. Miłym ci jest? Rzeknijże mi choć to.

— Juści. Miłym mi, Krystyn, ale czasem, czasem boję się ciebie. Patrzyć tak okrutnie, jak... jak... czy ja wiem?

— Nie bój się. Nic ja ci złego nie uczynię. Miłujesz mnie, miłujesz, prawda? To dobrze. Idź już Ofka, obaczmy się na odwieczny. Pozdrów tam matkę.

Ciszę, jaka nastąpiła w krużganku po odejściu Ofki, zmącił pogłos Sylwestrowych kroków. Zakonnik złożył na czystej szmatce pod ścianą kratek chleba, a ująwszy pendzle poszedł ku malowidłu.

— Musimy pokwapić się bracie. Za miesiąc już dzień patrona naszego. Niechże oglądną go oczy ludzkie w chwale świętości.

Krystyn zerknął zezem na chleb ale nie

rzekł złego słowa. Myśl jakaś paliła mu się w oczach niecierpliwym zarzewiem.

— Nadażym. Twoje nieomal gotowe, ja zasie z postacią świętego migiem się uwinę. Bym jeno umysł miał spokojny, zdatności ni siły mi nie zabraknie.

— Widzę ja zdawna, iże coś cię nęka. Wyznaj, bracie. Może ku pomocy stanąć ci zdole. Ano zawsze lepiej wespół brzemie dźwigać!

— Powiem; coby nie. Jeśli staniesz ku pomocy, to wiedz, że nie mnie, nie sobie ino, ale braciom wszystkim, wszelakiej nędzy i biedocie co się po świecie płacze.

— Cóżes zamysłili takiego?

— Bywasz przecie niekiedy w południowej kaplicy, tej w gruzganku?

— A jakże. Kaplica Najświętszej Panny Bolesnej.

— Wiesz chyba, co tam jest na posadźce?

— Jakoś nie jasno prawisz. Cóżby być mogło? Labirynt jerozolimski. Więcej nic. Nawet nagrobka żadnego.

— Juści, nagrobka żadnego, ale własnie labirynt! Nie daje mi się ciągnąć za język i powiadaj co o nim jeno wiesz!

— W imię Ojca i Syna! Cóż mam wiedzieć? Dy wszędzie labirynty takie widzieć można! Pobożne to dzieło, także ku zbawieniu służące!

— Nie, takich jak ten nie masz. Są na innych wyznaczone drogi krzyżowe, świątynia, pałac Heroda, ogrójec. Ludzie się na kolanach suną. Mękę Pańską rozpamiętują. Aleć tu, nie to samo. Powiedz, czemu labirynt cały otoczony jest węzłem, czyli smokiem, ogień ziejącym?

— Lewiatan to, którego Bóg wytrącił!

— Lewiatan? Acha! Tedy krótko ci rzeke; nie wizerunek Jeruzalem tam jest, jeno... ale cicho o tym — jeno sekret na robienie złota!

— Na miły Bóg!

— Tak bracie, tak! Jako żywo! Mądry, wielce mądry zdziałał to alchemik. Może z braci który, gdy mu w klasztorze warzyć złoto wzbroniono, choć taki wspominek wiedzy swojej na kamieniu wyrzezał ku nauce innych! Każdy się przecie dorozumie. Smok naokoło: symbol rłeci. Siedem planet na obwodzie, a smok zwrócony paszczą w stronę słońca. Wszakże wiesz, że słońce wyraża złoto. Ach bracie, bracie! Tylem lat się plątał wokół takiego skarbu, jak głupi. I nic! Nogami deptałem. Aż tu raz, znagła, jak obuchem w łeb; taóże to nic inego jak sekret alchemiczny. Opatrzyłem, zbadałem, na robieniu złota znalazłem się co nieco, resztę wysperalem, dociekle, wypytałem jakich ino dopadłem magistrów, bakałarzy. Żaden tu znak nie jest wyryty daremnie. Wieżycy i niewiasta w koronie

gwiazdzistej — dziecko by gojęło — symbol astronomii.

— Bracie, zaklinam, na wszystko co święte, zamilknij! Panne Najświętszą mieszasz do zwidzeń swych i mamideł, czei Jej uchybiasz! Krystyn, braciszku, chodź... do ojca Anzelmą cię powiodę! Ukórz się, oczyś duszę z grzechu pożądania. Żali nie widzisz, że szatan cię kusie, że ci na zdradzie staje? Niejeden już przed tobą na szwank stawał zbawienie swe, tajemnicie owe zgłębiając — Boże odpuść — diabła ku pomocy wzywaj! Aleć tam, w labiryncie, tajemnego nie masz! Pokusa to ino, pokusa! Jak to przemysłność piekielna, nawet z rzeczy Boga poświęconych zasadzki czyni!

— Więc nie pomożesz? Nie powiesz kę wyrył wizerunki owe?

— Ani mi słuchać się o tym nie godzi!

— A nie miłym ci będzie dostatek w klasztorze? Ołtarz ufunduje ze szczerego złota, drogimi klejnoty obsypie. Tlusto ja dać będą bracia twoi!

— Bogu ino jednemu służym, nie mamonie.

— Dobrze, jak wola. Poradzę i bez ciebie.

— A gniewu Bożego ty się nie boisz? Porzuć, porzuć tę myśl grzeszną, kajaj się w pokucie, bo dosięgnie cię karząca prawda Pańska!

— Co grozisz? Zawrzyj język na kłódkę, a do moich spraw się nie wraźaj. Nie ustrzeleń mnie piorun dzisiaj, to ta i pożyje jeszcze.

Zmilkzał Sylwester, ale odbiegł ostro, skąnym spojrzeniem w kącik, gdzie pszenicznie waniał mały, niepozorny calebek, świadek ich zwady. Pochwylił ów wzrok Krystyn.

— Przed Ofką wara ci! jednego słowa!... — aż mu chrypiąca wściekłość w gardle dzieli.

— Nie zezwole, iżbyś ją za sobą w otchłań grażył.

— Niewiastą moją będzie.

— Nie twojać bracie jest i nie twoja będzie, ino Boża.

Krystyn zżymał się gwałtownie i odwrócił się ku bratu. Straszny był. Zsiniałe wargi męły jakieś słowa tak groźne, że marły od własnego jadu na okrwawionych działach, zanim słuch uchwycił je zdążył. Pale szponiasto zagięte szukały omackiem szyi Sylwestra, by wduścić mu w gardło nienawistną groźbę. Lecz o jeden krok od zakonnika stanął, nie śmiejąc go tknąć i jakby uciekając od samego siebie, pognał korytarzem, wywalając ramieniem zapórę wrót.

Niechże cię prowadzi i ustrzeże święty nasz Patron — szepnął Sylwester, do wtóru skrzypiącym przykro, wyrwanym z zawiąs wierzajem, które pospieszył zamknąć.

Marzenia senne

(Dalszy ciąg ze str. III).

Poza tym bardzo ważnego materiału, który zostaje wykorzystany w zwidzeniach sennych, dostarcza nam nasz narząd wzroku nawet wtedy, kiedy żadne światło nań nie działa. Na skutek ucisku powiek na gałki oczne i wskutek innych powodów, w komórkach nerwu wzrokowego, znajdujących się w siatkówce, odbywają się samorzutnie (to znaczy bez działania światła) pewne procesy, których wynikiem są jasne plamy o płynnych zamazanych konturach.

Nasza wyobraźnia, która z materiału, dostarczanego przez nerwy czuciowe i pamięć buduje marzenia senne, nie jest wszechmocną i nie potrafi tworzyć z niczego. W zwidzeniach sennych mogą się znaleźć tylko takie składniki, które nam są dostępne i na jawie. Z tego wynika, że jeżeli ktoś od urodzenia jest pozbawiony jakiegoś zmysłu, to i w jego marzeniach sennych nie będzie tych przeżyć, które z działaniem tego zmysłu się łączą. Głuchy nie będzie snił o muzyce, a ślepy o kolorach. Nie znaczy to bynajmniej, aby w marzeniach ludzi niewidomych od urodzenia panowała kompletna ciemność. Zarówno w marzeniach sennych, jak i w stanie jawy świat nie jest dla niewidomych, ani jasny, ani ciemny; ani barwny, ani szary. Niewidomy jest po prostu całkowicie pozbawiony tego, co nazywamy wrażeniami wzrokowymi, jest o jedną, niesłychanie doniosłą, dziedzinę przeżyć uboższym. Aby bowiem mógł przeżyć ciemność, musi znać i musi przeżywać jasność. W przeciwnym razie, ani jedna, ani druga dla niego nie istnieje. W marzeniach ludzi ślepych od urodzenia, mamy jedynie dźwięki i to, czego dostarcza zmysł dotyku, poza tym

smaki, zapachy i wrażenia termiczne (ciepło, zimno; chłodno, gorąco i t. p.). Dla ilustracji podaję poniżej opis snu pewnego niewidomego od urodzenia:

„Jestem na barce, na której może się znajdować najwyżej trzydzieści osób. Jadę na Korsykę w towarzystwie mego przyjaciela P. G. Siedzimy obydwaj na brzegu barki i prawą ręką badam szczegóły jej budowy. Barka jest podobna do tych, na których często pływałem w Saint Malo. Wychyłając się nieco mogę zanurzyć rękę w wodzie. P. G. nieco się niepokoi, że barka mogłaby się przewrócić, ale ja go żywo uspokajam. Słyszę głuchy szum morza i odczuwam wielkie zadowolenie. Nagle znajdujemy się w wodzie cudownie ciepłej i pływam z największą łatwością (w rzeczywistości nie umiem pływać). Budzę się — leżę na plecach”.

W tym całym śnie nie mamy jednego elementu wzrokowego. Śniący, bada ręką budowę barki i nie nam nie mówi o jej wyglądzie, ani o kolorze nieba i morza i t. d. Natomiast słyszy szum morza i czuje, że woda jest ciepła.

Takie, czy inne kalectwo jest na szczęście rzadką i większość ludzi korzysta z usług wszystkich swoich zmysłów. W związku z tym powstaje pytanie, czy w marzeniach sennych mamy wszystkie tak zwane jakości zmysłowe (barwy, dźwięki, miękkość i twardość, zapachy, smaki, ciepło i zimno), czy tylko niektóre, jakie z tych jakości występują rzadziej, a jakie częściej? Okazuje się, że najczęściej mamy treści wzrokowych i słuchowych i bardzo rzadko występują pozostałe.

(Ciąg dalszy na str. V).

(Dalszy ciąg ze str. IV).

bu właśnie za to, że nie chcieli go dać w jego ręce.

— Ja wam wymaluję ściane — myślał mściwie wśród łagodnych, powolnych zdań, głoszących życie i cnoty Franciszka z Assyżu — wymaluję wam! Popamiętajcie! I śmiech bezgłośnie, targał twarzą garścią wnętrzości, palce mięły żrzębny szmat obrusa, a wśród skłębionych bezładnie myśli jawiła się Krystynowi straszliwa wizja szatana, który bezkarnie wtargnął do pustelni i niepozbyty, niezwałczony, uraga świętemu, szydząc z jego umartwień ciała i modlitewnych wzlotów duszy.

— Będziecie mieli kuszenie świętego Franciszka — zachłystywał się złą radością — uwidzicie, com wart! Ino nie za wcześniej, jeszcze nie teraz. Napędziliby precz. Tyle pracy poszłoby na marne.

Krystyn zdziczał i osamotniał. Nie wychodził nigdy z klasztoru, nie miał żadnej wieści z miasta. Przeszła przychodźcie do malowania Sylwester, skończywszy swoje; przestała donosić południę z domu Ofka. Za ledwie to zauważył; ktoś bąknął nowinę, iż podobno oblekła habit zakonny w zgromadzeniu świętej Klary. Nawet te słowa nie zdziwiły Krystyna. Niecierpliwym kiwnięciem ręki odprawił natręta, spiesząc ucho- dząc do swej kaplicy, przeżarty cały jedynie chęcią znalezienia złota. Tonęły w tej myśli wszystkie zamiary i pragnienia, rozrastała się w duszy, jak wiedzma-zmora, krwιά żyjąca, a przecież Krystyn ani na krok jeden nie był bliżej rozwikłania tajemnicy, niż na początku poszukiwań.

— Bym jeno wiedział od czego zacząć, gdzie początek — szeptał desperacko, wpatrzony z udumą w znaki nieprzeniknione, zamykające żelazną obręczą zakletego kręgu daremne nadzieje — i tak źle i owak nie lepiej. Czy ku Słońcu czy wspanak, nie umyślić nie mogę, a wszakże muszę, muszę!

Nadeszła wigilia święta Franciszka z Assyżu. Krystyn cieszył się na ten dzień, bo wiedział, że bracia więcej się modlić będą i dłużej pozostanie swobodny. Z lekkim też sercem i dobrą, dawno nie doznaną otuchą porwał się skoro świt z posłania, współ z zakonnikami.

— Cóż mi to jest? — rozmyślał oblekając ponocze — wždy dawno nie było mi tak uciesznie. Na znak chyba, że mię pomysłność jakowa spotka. Juści, tak będzie. Nie umknie mi się dziś labirynt, nie umknie!

Krystyn zbiegł ze schodów, obrócił się w jeden korytarz, drugi, teraz sionka mała i wejście boczne do chóru. Jak co dzień ze- zuł przed drzwiami obuwi, by ciężkie chodaki nie zdradziły donośnym łomotem jego kroków i boso przemknął ku ścianie, gdzie wisiał klucz od kaplicy. Wyciągnął poń rękę, dojrzał nieduży wizerunek założyciela zakonu, stojący w zagłębieniu muru i śmiech go porwał na widok chudych, umartwionych członków świętego.

— Ni kroku nie postawię w klasztorze, bym się nie natknął na ciebie. Ano, mimo twej stróży, śmieję się okraść braciszków, Biedaczyno. Ho, ho, może nawet nie wiesz, jakis bogaty! Pokażże teraz, coś wart. Kto będzie silniejszy? Wstrzymaj mnie, jeśli zdolesz, kukło drewniana!

Wielce rad z siebie, szedł Krystyn dalej, ale u wejścia do krużganku wstrzymał się, przejęty wielkim zdziwieniem. Pod niedokończonym freskiem stał ktoś w zakonnej odzieży.

— Wszak wszyscy bracia na modlitwie — przemknęła Krystynowi myśl podejrzliwa — któż zaz, gdy nigdy o tej porze człowiek w korytarzu nie usłuchasz? Patrzcie ludzie, prosto do mojej kaplicy zmierzcie. Wszedł! Dy kaplica zamknięta, a klucz u mnie w garści. Czym inny klucz wziął? Coś się tu święcił!

Jednym skokiem dopadł kraty i patrzył w ciemną głąb, z zapartym tchem i rozdygotanym sercem.

Zakonnik przyklepnął przed ołtarzem Najświętszej Panny, po czym wstąpił na skraj labiryntu. Kościsty palec jego wychudłej ręki wskazał najpierw na symbol Słońca, potem kolejno na Smoka, wyobrażające rękę i planetę Saturna, która oznaczała olów. Teraz wodził rozgorzałe oczy Krystyna ze znaku na znak i malarz doznawał raz po raz wstrząśnienia. Rozumiał wszystko. Poznawał dokładnie i bez wątpliwości sekret alchemiczny. Z wysiłkiem nadszedł spojrzeniem za ruchami zakonnika, wtlaczał je w pamięć i usiłował otworzyć z wyrazistością rys, żłobiących na kamieniu labirynt. Wreszcie oderwał się od zapor kraty i chciał wbiec do kaplicy, lecz powstrzymał go władczy gest tamtego, który wyprostowawszy przygarbione plecy, zdawał się rozsnać, potężnieć, olbrzymieć, wypełniać sobą całe mroczne wnętrza. Uczynił krok i stał tuż przed Krystynem. Z bladej twarzy

zakonnika i z oczu czarnych były blaski. Malarz w zatrwożeniu błędnym rozpoznawał rysy dopiero co oglądane na drewnianym posążku, któremu bluźnił. Chciał cofnąć się, uciec, ale nagle poczuł, że palce czyjeś, niby rozżarzone świeczki, przyczołdowały do podłogi jego bosa stopy. Ból pałący, niedoznany nigdy przeniknął całe ciało. Krzyknął i zakrył twarz rękoma.

Po długiej chwili odważył się spojrzeć. Czy to mgła przesłania wzrok? Wszystko zniknęło. Na podłodze kaplicy, siła nieznana przemazała wszystkie znaki, zatarła labirynt tak dokładnie, jakby nie widniał tam nigdy. W jego miejscu czerniły się żalobnie, szeroko rozciągnięte ramiona dużego krzyża. Ruszył krokiem Krystyn, by podejść bliżej i rozemnać niespodziewane zjawisko.

Spuścił wzrok i oto w oszalałym, mdłym lęku, ujrzał na podłodze wyraźny, krwawiący ślad, jak od przebiecia gwoździem, który strasznym stygmatem zatrzymał go na zawsze u progu rozeznania wielkiej tajemnicy.

—:o:o:—

Jesień na nieboskłonie

Stosownie do życzeń wielu naszych Czytelników wprowadzamy do „Tygodnia“ urozmaicenie w postaci artykułów z zakresu astronomii. Dział ten będzie prowadził dr Janusz Pagaczewski, b. asystent prof. Banachiewicza w Krakowie. — Red. „Tygodnia“.

Obraz, jaki przedstawia nam sklepienie niebios we wczesnych godzinach wieczornych w październiku, jest typowym dla jesieni. Wszak już 23 września słońce przecięło równik niebieski w punkcie równonocy jesiennej, przechodząc z półkuli północnej na południową. Moment ten jest — jak wiadomo — początkiem kalendarzowej jesieni i od tej chwili dzień coraz wyraźniej staje się krótszy od nocy.

Opiszemy tu pokrótce gwiazdozbiory w takiej konfiguracji, jaką ujrzymy obserwując niebo około godz. 23 na początku, 22 g. w połowie i 21 g. przy końcu miesiąca.

Najłatwiej rozpocząć orientację wśród gwiazd odnalezieniem Wielkiego Wozu, sta-

nowiącego część Wielkiej Niedźwiedzicy, a którego wygląd znany jest powszechnie. Znajdziemy go w północnej stronie nieboskłonu, w niezbyt dużej wysokości nad horyzontem. Posługując się „tylnymi kołami wozu“ odszukamy Gwiazdę Polarę; w jej pobliżu znajduje się północny biegun nieba — punkt, dokoła którego całe sklepienie niebios zdaje się obracać w ciągu 24 godzin.

Jeśli noc jest ciemna, uwagę naszą zwróci świetlisty pas Drogi Mlecznej, która przechodząc przez zenit jest obecnie w bardzo dobrych warunkach do oglądania. Wzdłuż jej wstęgi rozłożyły się najpiękniejsze konstelacje. Łatwo rozróżnimy Kasjopeję, której 5 jasnych gwiazd tworzy jakby literę — duże W. Dalej ku zachodowi natrafimy wzrokiem na Łabędzia posiadającego wyraźny kształt krzyża, u którego szczytu błyszczą biała gwiazda pierwszej wielkości „Deneb“. — Nieco na uboczu od wstęgi Drogi Mlecznej, w pobliżu Łabędzia błyszczą biało-niebieskim światłem wspaniała gwiazda, jedna z najjaśniejszych na niebie; jest to Wega w niepozornym gwiazdozbiórze zwanym Lutnią. Trzecia bardzo jasna gwiazda świeci na pld.-zachód od Łabędzia, to Altair, najjaśniejsza z gwiazd Orła.

Zwracając wzrok na przeciwną, a więc wschodnią stronę nieba, uwagę naszą przyciągnie b. jasna gwiazda, nie mająca sobie równych w tej części nieba. Jest to Koza (Capella), tworząca wraz z kilku względnie jasnymi gwiazdami konstelację Woźnicy. Między Woźnicą a Kasjopeją leży Perseusz, którego gwiazdy układają się w duży łuk. Przy końcu tego łuku zobaczymy gromadkę gwiazd. To Plejady, zwane przez lud „kwiłką z kurczętami“. Na południe od Kasjopei łuk jasnych gwiazd tworzy Andromedę; sąsiedni gwiazdozbiór, którego 3 jasne gwiazdy układają się łącznie z jedną z gwiazd Andromedy w olbrzymi czworobok — nosi nazwę Pegaza.

Pod Pegazem, prawie dokładnie w południku rzuci się nam w oczy b. jasna gwiazda, najjaśniejsza ze wszystkich widocznych w danej chwili, a świecąca b. spokojnym żółtawym światłem. Jest to planeta Saturn, o której wiadomo powszechnie, iż otacza ją system pierścieni; oglądanie tej przepięknej planety w lunecie pozostawia niezatarte wrażenie. Saturna można obserwować do późnej nocy; jednak chcąc oglądać inne planety, musimy na nie zapolować. I tak Jowisza znajdziemy wkrótce po zachodzie słońca na niebie zachodnim; wspaniałym blaskiem przewyższa on Saturn kilkakrotnie. Zachodzi początkowo o 22.30 g., przy końcu miesiąca już o 20.45 g. Bardzo interesujące jest polowanie na Merkurę, gdyż zwinna ta planeta szybko zmienia swe miejsce na niebie, a skutkiem bliskości jej do gwiazdy dziennej okresy jej widoczności zachodzą rzadko. Na początku miesiąca (do 8) Merkury wschodzić będzie na 1.15 g. przed wschodem słońca, niemal dokładnie na wschodzie. Jego jasność będzie wzrastała i przewyższy gwiazdy I. wielkości prawie dwukrotnie. Łatwiej przyjdzie nam odszukać Wenus przede wszystkim dzięki jej ogromnej jasności oraz większemu kątowemu oddaleniu od słońca. W ciągu października Jutrzenka skraca swój pobyt na niebie wschodząc przy końcu miesiąca już tylko na 2 godziny przed słońcem.

Wieczorem dnia 29 października planeta Mars przesunie się w pobliżu Jowisza, biegnąc szybko z zachodu ku wschodowi. Takie zbliżenie dwu planet bywają b. efektowne. Marsa łatwo poznać po czerwonym zabarwieniu. Również blask jego jest znacznie słabszy od blasku Jowisza.

Dr J. P.

Rozrywki umysł. Nr 40/79

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

ZAD. 1. REBUS (5 PUNKTÓW)

ul. „Kasta“ — czł. Kl. Szar.



ZAD. 2. — SZARADA — BABIE LATO (2 PUNKTY)

ul. „Dziadek z Bakszty“ — czł. Kl. Szar.

Ósma pora roku jest czwór babie lato,
która się do lata tak ma, dajmy na to,
jak małe pagórki do Wspanak siódmych pono,
choćby ich piękno nie wiem jak sławiono.

Lub Pierwszy-wspanak trzeci do Cztery-ósmego,
albo też Wspanak piąty do Nilu Wielkiego.
Czuję to pięć-szóstym drugim, na swej skórze:
niby w dzień jest ciepło, pada deszcz, są burze,
a już noc i ranek przynosi przymrozki,
co paniom różowią policzki i noski.

Słowem szóste drugie najpiękniejsza pory
roku się skończyły. Świat jest smutny, chory,
Lecz to nie sześć-raz trzy pawnika, że w roku
przyszym znów mieć będziemy czas pełny uroku.

ZAD. 3. — ARYTMOGRAF (3 PUNKTY)

ul. W. Nosé — czł. Kl. Szar.

Cyfry podanego tekstu należy zastąpić literami, które otrzymamy po odgadnięciu podanych słów pomocniczych.

Tekst.

1, 2, 3, 4, 5 — 6, 7, 8, 5 — 6, 9, 7, 10,
1, 2, 3, — 11, 12, 13, 3, 4, 7 — 14, 3 — 5, 6,
2, 15, 16, 1, 15, 17 — 2 — 9, 7, 1 — 4, 18,
16 — 6, 7, 8 — 1, 2, 3 — 13, 6, 11, 15, 9, 2 —
9, 5, 11, 12, 13, 3, 4, 7 — 16, 5 — 19, 20,
2, 15, 16, 1, 15, 17. —

Słowa pomocnicze:

- I. Umiejętność stosowania rozumu i wiedzy = 8, 15, 10, 12, 5, 19, 17.
- II. Człowiek zaniedbany, nieporządny = 7, 4, 1, 3, 16, 7, 11.
- III. Wywiadowca, agent polityczny = 6, 13, 9, 2, 3, 16.
- IV. Symbol chemiczny = 20.
- V. Chmara, gromada = 12, 18, 14.

ZAD. 4. — SZARADA-TRIOLET — JAKOŚ ŻYCIE SIĘ UKŁADA (2 PUNKTY)

ul. „Rex“ — członek Kl. Szar.

Jakoś na wspanak trzy-wspanak sześć życie się układa,
na bieg wydarzeń jego wpływ mamy niewielki,
trzy-dwa tym nikt nie zdola biegu swego nadać
jak czwarte-jeden ono nikt tego raz zbada...

Czy życie dłużej potrwa, czy śmierć się już skrada,
czy to czwór-pięć wspanak-szósta, czy port kościelki?...
Nie wiemy nawet komu to pytanie zadać,
gdyż dwa nic nie zbadamy tych tajemnic wielkich!...

ZAD. 5. — SYLABÓWKA (2 PUNKTY)

ul. Zb. Block — czł. Kl. Szar.

Ułożę 13 wyrazów według niżej podanych sylab tak, aby litery początkowe i końcowe czytane z góry na dół, dały rozwiązanie.

Słaby: A, a, braw, cen, czci, dol, fel, fu, ga, herb, i, ik, in, ka, ku, la, lu, ma, mo, na, nie, nim, pi, ro, sil, ta, ta, ter, u, ur, view.

Znaczenie wyrazów: 1) kwiecie, wianek, 2) wyobrażenie boga, bożyszcze, 3) miasto nad m. Żółtym, w prow. Szantung, 4) godło lub znak, nadany rodzinie szlacheckiej, 5) gaz, składający się z azotu i wodoru, 6) ploza u sani, 7) wypu-

kiłość nad powieką, porośla włosami, 8) imię żeńskie, 9) pijak, 10) ze wszystkich sił, z całej mocy, 11) bajeczny potwór, 12) kolor w kartach (ó—o), 13) inaczej wywiad.

Rozwiązanie powyższych zadań należy nadesłać do dn. 17. października r. b. pod adresem redakcji dla kiedowniczkii Działu R. U. Ważna data stempla pocztowego. Należy dołączyć kupon do rozwiązania, od czego są zwolnieni jedynie stali prenumeratorzy naszego pisma lub dodatków niedzielnych.

Kupon Nr. 40/79

ważny do dnia 17 października b. r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Praca katolickiego misjonarza uchodzi słusznie za najtrudniejszy odcinek powołania kapłańskiego. Wymaga heroizmu. I to bez przerwy... I nie wiadomo, gdzie, w jakim społeczeństwie — jest trudniejsza? W zimnych, lodowych, okolicach i biegunowców, czy w głębi gorącej, lub malarycznej Afryki?

„BISKUP WIATRÓW“

Wikariusz apostolski obszaru Mackenzie w północno-zachodniej Kanadzie. Ks. Biskup Breynat ze Zgromadzenia OO. Oblatów, nosi zaszczytny tytuł: „biskup wiatrów“. Tytuł pochodzi stąd, że jedynym dla niego sposobem zarządzania obszernym wikariatem jest — samolot. Santa Maria II, ofiarowany mu niedawno przez francuskich katolików. Używa go też biskup Breynat chętnie. Ostatnio objechał nim cały obszar swego wikariatu... Warto wziąć do ręki atlas, żeby sobie zdać sprawę z rozmiarów tej podróży.

W dniu 5 sierpnia przebył z Edmonton do Fortu Vorman przebywszy 1400 kilometrów. Stąd nazajutrz wzdłuż rzeki Mackenzie ruszył do Good Hope (blisko początku delty rzeki Mackenzie) przebywając znów 280 km. Stąd zabrał misjonarza, aby go do stawić na jego nową placówkę misyjną, już na wybrzeżu Morza Lodowego. Po drodze zatrzymywał się w różnych miejscach, gdzie są placówki misyjne. Odbyszał normalną wizytację kościołów, kaplic, szkół itd. Równocześnie zaopatrywał personel misyjny w potrzebny mu na miesiące zimowe żywność, którą przywiózł z sobą. Właściwą wizytację zakończył w Fort Smith, a 14. VIII ruszył w stronę bieguna, do Chesterfield Inlet, aby wziąć udział w konsekracji biskupiej, ks. Clabaud, świeżo zamianowanego koadiutorem wikariusza apostolskiego Zatok Hudsona. Tym razem zrobił 1.700 km. Równocześnie zaś koadiutor biskupa Breynat, ks. biskup Fallaize, na okęcie misyjnym, „Notre Dame de Lourdes“, odbywał wizytację placówek misyjnych położonych na Morzu Lodowym.

Oczywiście, podróż po terenach położonych poza kołem podbiegunowym, nawet w „lecie“ nie jest ani zbyt przyjemna ani bezpieczna.

TRUDNE MISJE.

W literaturze misjologicznej utrzymuje się pogląd, że największej oporności w stosunku do chrześcijaństwa wykazują: żydzi i mahometanie, a z narodowości — Mongołowie. Jest przecież jedna — zdaje się, że jedyna — misja wśród Mongołów, w wikariacie apostolskim Ningsia w Obinach. Pracują tam belgijscy misjonarze. Katolików jest tam 200 tys.: w tym tylko 1 tysiąc Mongołów, reszta Chińczycy. W d. 25. 7. odbyły się święta pierwszego księdza mongolskiego. Za parę lat mają być drugie. Prasa misyjna podkreśla to wydarzenie ze szczególną radością, wskazując na wielkie trudności misyj wśród Mongołów... Na szczególne trudności natrafiają również misjonarze pracujący wśród Indian „Szoko“ w Panamie. Na przeszkodzie stoi strasznie niski stan kulturalny tego szczepu i konserwowanie starych obyczajów. W żaden sposób np. nie mogą misjonarze przyzwyczaić tych Indian do grzebania umarłych. Zachowują bowiem obyczaj „prastary“, że umierającego człowieka zamyka się w jego namiocie i zapala. To im się wydaje szczytem przyjaźni dla człowieka chorego.

„ANTYKLERYKALIZM“ WE FRANCJI.

Ale wracamy do Europy z tych dalekich okolic! Jesteśmy we Francji...

Przed niedawnym czasem, w okresie uroczystości ku czci św. Teresy w Lisieux, w których udział brał Sekretarz Stanu, kard. Pacelli, głośno było we Francji, zwłaszcza w lewicowych kołach, o objawach jakiegoś odrotu od „antyklerykalizmu“... Przywódca radykałów, Campinchi, oświadczył w Izbie Deputowanych: „Nie jesteśmy już antyklerykalami“. Wódz socjalistów, Blum, dał tygodnikowi „Sept“ wywiad, w którym mówił o swoim podziwieniu dla encyklik społecznych, a „Populaire“ socjalistyczny witał kardynała Pacelli w słowach bardzo serdecznych.

Sielanka nie trwała długo. Kardynał Pacelli wrócił do Rzymu, a we Francji wszystko wróciło do „normy“. Zwłaszcza u socjalistów, którzy rzekomo mieli wielką skłonność do zerwania z „antyklerykalizmem“... Obecnie przechodzą do wściekłego ataku na katolicyzm. Mianowicie w związku z kongresem socjalistycznej partii, czyli: SFIO., w Marsylii.

DOGMAT „ŚWIECKIEJ“ SZKOŁY.

Kongres ten poprzedzono w prasie partyjnej artykułami przeciw Kościołowi. Najostrzej wystąpił jeden z głowaczy partii, p. Perceau, zajmujący się sprawami szkoły.

P. Perceau stwierdza z przerażeniem, że „partię nurtują jacejki Kościoła“. Bije na alarm i głosi konieczność nadania partii charakteru „antyklerykalnego“. To jednak, co proponuje, jest nie antyklerykalizmem, ale antyklerykalizmem.

Chodzi mu oczywiście o sławny dogmat „świeckiej“ szkoły. Pisze, że w ostatnich latach ten dogmat został poważnie w szkole francuskiej załamywany... Katolicy zakładają sobie „wolne“ (prywatne) szkoły nawet w małych gminach obok państwowej szkoły, — niektórzy nauczyciele i nauczycielki z państwowych szkół ośmielają się należeć do religijnych stowarzyszeń („Davidees“), — niektórzy urzędnicy państwowi odważają się posyłać dzieci do szkoły katolickiej, a nie „świeckiej“, państwowej.

P. Perceau domaga się wydania formalnych zakazów, które by kres położyły tym wszystkim „nadużyciom“, a dogmat „świeckiej“ szkoły postawiły na pierwszym planie. Odpowiednie też rezolucje zostały przez kongres uchwalone.

Oto — demokraci, którzy dla realizacji doktrynerskich i fanatycznych idei gotowi są użyć nawet wyjątkowych ustaw.

„FRANCJA — CHRZEŚCIJAŃSKA“.

Wysłała niedawno książka: „France, terre chretienne“ (Francja, ziemia chrześcijańska). Autor, Am d'Yvignac, wywodzi, że Francja dzisiejsza jest w gruncie rzeczy chrześcijańska. Krytyk literacki L. Estang, podnosi w „La Croix“, że p. d'Yvignac na-

Z obcej niwy

Spirytyzm, magia, zabobony

Ukazała się świeżo niezwykłe ciekawa książka Filipa Schmidta p. t.: „Talizmany i czary — książka o zabobonach wczorajszych i dzisiejszych“. Książka ta zasługuje na szczególną uwagę w czasach, gdy wokół dostrzegamy w życiu codziennym zakorzenione zabobony. W każdym niemal samochodzie, w zawodach sportowych, u artystów, marynarzy, lotników spotykamy się z tzw. „muskotami“ t. j. przedmiotami „przynoszącymi szczęście“. Czytamy co dzień ogłoszenia wózków astrologów, chiromantów. W życiu towarzyskim spotykamy cały rytuał najgłupszych przesądów.

Zjawiają się coraz nowe sekty, hołdujące gustom i zabobonom, nieraz ukrytym w pseudouczony terminologii, jak zwiazki spirytystów. Więcej np., niż wielu przypuszczają, praktyki wywoływania duchów odbywają się dziś w różnych kołach ludności. Wiele w tym jest złej woli, ale i wiele patologii. Dr. Gairdner, profesor uniwersytetu w Glasgow, twierdzi, że osoby oddające się namiernie spirytystyce, posiadają pewne zboczenia umysłowe. (Por. jego „Mental science“). Dr. A. Culleze, znawca patologii, w dziele swym „Na granicy obłądka“ (Les Frontières de la folie) przytacza opinie psychiatrów, wykazujących, że osoby nadmiernie zabobonne są nie zupełnie normalne pod względem umysłowym.

Ze wiele faktów, uznanych za wiarę w zabobony, wynika z chorobliwego stanu duszy, wie o tym każdy psychiatra, ale za daleko się posuwa, kto wszystkie zjawiska mistyki demonicznej chce objaśnić nienormalnym stanem umysłowym. Kościół zachowuje roztropność w traktowaniu zabobonów i czarnoksięstwa.

„Jesteśmy przekonani — mówi wybitny teolog, kardynał Gousset — że czarodziejskie praktyki, w których biorą udział siły demoniczne, są bardzo rzadkie. Najczęściej czarom przypisuje się to, co po prostu jest skutkiem rozognionej wyobraźni“. (Por. Gousset, Teologie morale t. I.)

Inny znany teolog Pertone twierdzi, że w praktykach czarnoksięstwa, magii, guseł itp. wiele może być i było oszustwa i złudzeń, ale nie wykluczona jest interwencja złego ducha.

„Co się tyczy zakresu czarodziejstwa, — mówi on — nie przechodzi ono granicy sił i przyczyn stworzonych. Szatan bowiem przekroczyć ich nie może. Jego tylko wyższy od naszego rozum pozwala mu używać sił stworzonych w sposób zręczniejszy i nam nieprzy-

Czytanie Pisma św.

„Osservatore Romano“ z dnia 23 września br. w art. „I lavori della settimana biblica“ (Prace tygodnia biblijnego) pisze o odbytych ostatnio w Rzymie obradach tygodnia biblijnego i o wygłoszonych w tej sprawie referatach. Poruszono przy tym praktyczny i mogący zainteresować szerokie koła katolickie problem czytania Pisma świętego.

Wielkie korzyści, płynące z czytania Pisma świętego stwierdził już św. Paweł, kiedy pisał do ucznia swego Tymoteusza: — „Wszelkie pismo od Boga natchnione, pożyteczne jest do nauczania, do przekonywania, do poprawiania, do ćwiczenia w sprawie

leżał ongiś do „l'Action Francaise“, ale z nią zerwał na skutek potępienia tej organizacji przez Stolicę Apostolską. Autor „Francji, ziemi chrześcijańskiej“, stawia danym swoim towarzyszom z „l'Action Francaise“ zarzut, że „wywołali apostazję Francji“.

Wydaje się, że są to same nieścisłości. Twierdzenie, że Francja jest „ziemią chrześcijańską“, traci mocną przesadą. Traci ją również drugie — klęczące się z tym — twierdzenie, że „l'Action Francaise“ spowodowała apostazję Francji.

Zakończmy ten ustęp powiedzeniem, że zbyt wiele jest we Francji przeciwności, by można było twierdzić, że jest taką, a nie inną. Nurtuje ją wiele prądów sprzecznych. I nie wiadomo, który zwycięży. Katolicy wykazują ogromną aktywność, ale ich zwycięstwo wydaje się jeszcze dalekie. Wielką aktywność ujawnia także masoneria, komunizm i ateizm... Cóż więc można powiedzieć? Chyba tylko to, że — Francja jest wielkim laboratorium chemicznym, w którym przez doświadczenie i analizę przechodzą wszystkie wielkie idee świata. I to jest wielka usługa, jaką Francja oddaje światu i kulturze!

Pejot.

dlużności. Aby człowiek Boży był doskonały, do wszelkiej dobrej sprawy „wywołany“ (II. Do Tymot. III. 16—17). Na te słowa Apостоła powoływali się papież Leon XIII w encyklice „Providentissimus Deus“ i Benedykt XV w „Spiritus Paraclitus“, wskazując na Pismo święte jako na źródło życia chrześcijańskiego. „Z Biblii — mówi Leon XIII — wylania się jakby żywy i promieniujący obraz Chrystusa, z którego cudownie płynie ulga w cierpieniach, zachęta do cnót i wzywania do Bożej miłości“... „Kościół starał się zawsze przez najlepsze zarządzania i prawa, „aby ów skarb niebieski Ksiąg Świętych dany przez Ducha św. ludzium z najwyższej Jego hojności, nie leżał zaniedbany“ (Prokid. Deus)

Ojcowie Kościoła nie jednokrotnie stwierdzali, że swoje doświadczenia zawdzięczają przede wszystkim czytaniu i rozważaniu Pisma św. O. ks. Piotr Skardze, najwybitniejszym kaznodzieją polskim, mówił na jego pogrzebie ks. Birkowski: „Zawsze go znalazł, jak Pismo czytał, a czytał z poważnym rozmysłem“.

Również wiele kaznodziejów swa sławę i świętość zawdzięczali przede wszystkim czystemu czytaniu i rozważaniu Pisma św. O. ks. Piotr Skardze, najwybitniejszym kaznodzieją polskim, mówił na jego pogrzebie ks. Birkowski: „Zawsze go znalazł, jak Pismo czytał, a czytał z poważnym rozmysłem“.

Z entuzjazmem w naszych czasach wyraża się o Nowym Testamencie literat rosyjski Merozkowski w książce (nie pozbawionej zresztą błędów) p. t.: „Chystus Nieznany“. Dyktator Włoch Mussolini nakazał, aby w każdej bibliotece dla młodzieży znajdował się Nowy Testament.

Nieprawdą więc jest, — jak twierdzą protestanci, — że Kościół katolicki lekceważy lekturę Pisma św. a nawet przed jego czytaniem ostrzega. Kościół czuwa jedynie, aby lektura Pisma św. nie przynosiła szkody duchowej, a więc Kościół przestrzega np. przed przekładami Biblii niezaaprobowanymi przez hierarchię lub nieopatrzonymi odpowiednimi komentarzami pisarzy katolickich. Kościół jako stróż Pisma św. nie łatwo zezwala na przekłady nowe, a udzielając aprobaty spełnia swój święty urząd nauczania. Aprobata kościelna w oczach czytającego Pismo św. katolika jest nie tylko świadectwem wierności przekładu, ale nadto czyni tekst słowem żywym nauczającej Matki Kościoła.

Dwojaka może być aprobata Pisma św. — papieska i biskupia. Aprobata Stolicy Apostolskiej, udzielana wersjom narodowym, różni się od uroczystego potwierdzenia, jakie otrzymała łacińska wersja, Wulgata na Soborze Trydenckim (S. IV De edit. et usu libr. s). Gdy ta na Soborze Trydenckim jest potwierdzeniem uroczystym i dogmatycznym Wulgaty to aprobata udzielona wersjom u różnych narodów w różnych językach jak np. polskiej Wujka, niemieckiej Alliofi, włoskiej Martini, francuskiej Glaise'a, jest tylko potwierdzeniem prostym, dyscyplinarnym (por. Ubaldi: „Introductio in Scripturam Sacram.“ T. III).

Dozwolone są przekłady, jeśli mają aprobatę Stolicy Apostolskiej albo jeśli są zaopatrzone w objaśnienia zaczerpnięte z Ojców Kościoła i uroczonych egzegezów katolickich. Ale w ostatnim razie potrzebna jest aprobata biskupia. Wiele jest takich wersji z aprobatą biskupią np. przekład włoski Martini, lub wersja hiszpańska Scio, belgijska Beelena, angielska t. zw. duceńska (Doway — Bible) itd.

Protestanci uznawszy Pismo św. za jedyne źródło Objawienia, a prywatny rozum za jedyne tłumacza, tym samym uznają za konieczne czytanie Ksiąg św. przez wszystkich wyznawców. Kościół katolicki trzyma się innej zasady. Według nauki Kościoła z ustanowienia Chrystusa Pana organem do zachowania skarbu Objawienia i szerzenia pomiędzy ludźmi, jest nie martwa litera Biblii, nie mylly rozum prywatny, ale nieomylnie nauczycielstwo Kościoła: „Kto was słucha mnie słucha, kto wami gardzi, mną gardzi (Luk. X. 16). Z woli zatem Zbawiciela: „wiara ze słuchania, a słuchanie przez (opowiadanie) słowo Chrystusowe“. (Rzym. X. 17).

Kościół, któremu powierzony został cały skarb Objawienia, w tradycji i Piśmie zawarty, jako żywy organ, sam tylko w pełny sposób, jasno i bezpiecznie może nauczyć drogi zbawienia“.

A. P.